

## Moje wspomnienia o bursie Związku Osadników Wojskowych

Rok 1935. Męskie Seminarium Nauczycielskie w Swisłoczy w związku z reformą szkolną, likwidowało się, ustępując miejsca Liceum Ogólnokształcącemu. Ostatnią, klasę V, składającą się z 19 uczniów, przeniesiono w większości do Grodna i zakwaterowano w internacie żeńskim, czynnego jeszcze Żeńskiego Seminarium Nauczycielskiego. Internat był położony nad rwącą rzeczką, Horodiczanką, a oddzielony od śródmieścia głębokim jarem i otoczony dorodnymi drzewami. Wygospodarowano nam parę sal w stojącym na uboczu baraczkę, ale posiłki, siatkówka i „gruchanie” były wspólne z koleżankami.

Tak pozostać nie mogło. Zjechała z Kuratorium w Wilnie komisja. Wynik był dla nas surowy. Bezapelacyjnie przenieść się do bursy Związku Osadników Wojskowych przy ulicy Jerozolimskiej. Bursa się zgodziła, chociaż warunków na przyjęcie nie miała. Wysłany przez nas zwiad obawy potwierdził. Bursa mieściła się w ceglany, starym, piętrowym budynku, gdzie były trzy czy cztery duże sale, oprócz innych mniejszych, pomocniczych. Dom mieścił około 50 wychowanków w wieku od 14 do 18 lat. W jednej z sal spano a w innej odrabiano lekcje. Perspektywa pracy, dla nas maturzystów, nie była zachęcająca. Trudno, musieliśmy się pogodzić z losem. W deszcz i wichurę dwunastu nieszczęśliwców przeniosło swoje skromne łomoki na Jerozolimską. Ostatecznie dostosowaliśmy się do urody domu jerozolimskiego a dom jerozolimski do naszych ka-

prysów.

Wysprzątano na dziedzińcu bursy skromny baraczek, wygospodarowano tam dwa małe pokoiki i oddano na sale do nauki. Droga do tego przybytku wiodła przez błotniste podwórko. W rogach salek paliły w plecy rozżarzone do czerwoności piecyki, ale od radosnego szumu mieszkańców bursy byliśmy odizolowani.

Na naszą sypialnię odgrodzono część jadalni a róg tej sypialni przeznaczono na coś w rodzaju kiosku, gdzie zamieszkał nasz wychowawca, Franciszek Bieniek. Był to młody, przystojny chłopak, greczny i uczynny a traktował nas po koleżeńsku i nie zwracał się do nas inaczej jak „panowie”. W swoim skleconym z desek kiosku był dostatecznie dla nas niewidzialny, ale ten kiosk nie mógł izolować od wszelkich mieszkalnych dźwięków. Ponieważ metraż tego pomieszczenia zwycięsko konkurował nawet z dzisiejszymi normami kwaterekowymi, biedny Bieniek zawsze coś potrafił i wywrażał. Łoskot blaszanej popielniczki, spadającej z brzękiem na podłogę, oznaczał niezawodnie, że wychowawca wciąga spodnie i że za chwilę dzwonek oznajmi pobudkę.

Ze wstawaniem nie zwlekano, do szkoły było bowiem daleko a i do stołu trzeba było dorwać się pierwszemu, co dawało prawo wybrania największej porcji.

Kolega Katarkiewicz ze stoickim spokojem wylegiwał się najdłużej. To nas denerwowało. Wieczorem więc w sekrecie zaszyliśmy mu wyloty no-

gawek. Zrobiono to solidnie a użyto pierwszorzędnych nici, zwanych dra-  
twą. Gdy drugi dzwonek zwiastował  
śniadanie, wstał i Katarkiewicz. Skakał  
po sali z nogą wetkniętą w nogawkę,  
zanim się zorientował, że jest zaszyta.  
Nikt jednak nie miał ani szczyryka ani  
zyletki. Winę zwaliliśmy na hrabięgo  
Krasickiego, który mieszkał w naszym  
pokoju i uczęszczał do klasy drugiej  
gimnazjum, ale że jego tytuł hrabiowski  
wydawał się nam podejrzany a pre-  
zencja nie budziła szacunku, stał się  
kozłem ofiarnym, na którym mściliśmy  
grzechy wszystkich Krasickich. Kolega  
Konstanty Krusz, z którym nawiązałem  
korespondencję już po wojnie, w zu-  
pełności podzielał moje zdanie, pisząc:



*Grupa wychowanków bursy. Od lewej: K. Krusz, Sz.  
Karacz, B. Smirnow, L. Waleczak, Jaśkiewicz, J. Katar-  
kiewicz, W. Sacharczuk, M. Karpiuk. Fot W. Karpyza*

„Krasicki, rzeczywiście, miał pre-  
tensje do tytułu hrabiowskiego, tytułował  
mnie „osobistym sekretarzem”, bo  
zawsze pisałem mu różne podania do  
władz w Grodnie a nawet do minister-  
stwa, ale nigdy nie mógł skonkretyzo-  
wać o co mu chodziło i nigdy nie  
otrzymywał odpowiedzi na te swoje  
pisma”.

Kierownika bursy, Mazurkiewicza,  
legionisty, postawnego, z orlim nosem  
i połyskującego okularami, nie przy-  
pominam inaczej, jak użerającego się  
z nami na temat jakości posiłków. Miał  
coś w sobie z bohatera, bo gdy kaszan-  
ka wydawała się nam niezbyt apetycz-  
na, ku naszemu zdumieniu zjadł ją na  
naszych oczach a przy kolacji nawet  
powiedział:

– Czego chcecie od tej kaszanki?  
Bardzo dobra. Jeszcze dwie takie por-  
cje zjadłem w domu. Był to jednak  
człowiek życiowy, przystępny i dbają-  
cy o zakład.

Związek Osadników Wojskowych,  
który prowadził takie bursy w więk-  
szych miastach kresowych, dokładał

wiele starań, aby w tych  
bursach postawić na na-  
leżytym poziomie tak  
wychowanie fizyczne,  
jak i zajęcia kulturalne.  
Każdego roku odbywały  
się zloty wychowanków  
tych burs. W opisywa-  
nych tutaj czasach taki  
zlot odbył się w Wilnie,  
gdzie młodzież organi-  
zowała wszechstronne  
konkursy, zaczynając od  
zawodów sportowych  
a kończąc na występach  
chórów. U nas taki chór

prowadził rodowity Bułgar, Dymitrow,  
mówiący jednak biegle po polsku.  
Piękny to był mężczyzna. Do chóru, na  
zasadzie masowości włączono i mnie,  
choć moje zdolności wokalne były  
wątpliwe i „an bloc” musiałem stanąć  
przed rozgłośnią wileńską.

Na terenie bursy działał samorząd,  
którego prezesem był kolega Leon

Walczas, brat profesora historii, wykładowca w Seminarium Nauczycielskim a sekretarzem Konstancy Krusz. Ten ostatni prowadził też kronikę bursy. Była to piękna księga, specjalnie zamówiona w Niemeńskiej Fabryce Wyrobów Introligatorskich. Powołano też zespół redakcyjny w składzie: Jana Katarkiewicza, zwanego przez nas „Katieryną”, Wacława Radziuka i Witolda Karpyzę. Zespół ten redagował periodyk, noszący nazwę „Nasza Fala”. Nakład tego piśmka nie przekraczał 100 egzemplarzy a za moich czasów biło się go w ilości 50 sztuk.

Grodzińskie szkoły otrzymywały ją bezpłatnie a resztę rozprzedawano.

Pewnego razu w piśmie „Znicz”, wydawanym przez samorząd uczniowski Gimnazjum i Liceum im. Adama Mickiewicza, ukazał się napastliwy artykuł na temat naszej karnawałowej zabawy w Męskim Seminarium Nauczycielskim. Artykuł nie był wybredny i operował aluzją „zielone tarcze – zielono w głowie” (nosiliśmy na rękawach mundurów obowiązujące wówczas tarcze z numerem). Bursa zwróciła się o ripostę do mnie. Opracowałem notatkę

pod tytułem „Zielony kolor drażni”. Honor klasy zdawał się być uratowany. Redaktor Katarkiewicz, mający prawo korzystać z kosza i czerwonego ołów-



*Redakcja „Naszej fali”. Od lewej Wacław Radziuk, Jan Katarkiewicz, Witold Karpyza. Grodno 1936 r*

ka, ze stoickim spokojem skreślił tytuł „Zielony kolor drażni” a na jego miejsce wpisał nowy „O tak zwanym skrajnym cymbaliźmie słów kilkoro”. Entuzjazm nasz doszedł do zenitu. Numer ten był tematem kilkukrotnego zebrania samorządu i wyszedł podobno po naszym wyjeździe na wakacje. Nigdy go nie widziałem. Jak pisał do mnie w liście kolega Krusz, po „Naszej Fali”, którą wydawaliśmy na powielaczu nie pozostał żaden egzemplarz. Poprzednio wydawane egzemplarze były oprawione w Bibliotecę pana Mazurkiewicza.



*Rok 1936. Wilno. Zjazd wychowanków burs ZOS. Pochód ulicą Ostrobramską. W pierwszej czwórce od lewej: Witold Karpyza, Szymon Karacz, Jan Katarkiewicz i Albin Kiernożycki*

Obok bursy znajdował się katolicki cmentarz. Zachodziliśmy tam często. Spełniał on dla nas rolę muzeum, parku rekreacyjnego z pięknym widokiem na Niemen. Tu spoczywały zwłoki Elizy Orzeszkowej która znaczną część życia spędziła w Grodnie. Zachował się w Grodnie jej dom, gdzie urządzono muzeum jej imienia, a w 1929 roku wystawiono jej pomnik, który przetrwał do dzisiaj. Opowiadała mi kiedyś mama, że gdy Orzeszkowa była śmiertelnie chora, bruk ulicy przebiegający tuż przed jej domem, wysłano słomą.

Ulica Jerozolimska była chyba najbrzydszą ulicą w Grodnie a musieliśmy ją przebiegać w drodze do szkoły. Przed godziną ósmą, tą ulicą dążyli do pracy oficerowie 29 p.a.l. Piękni, wyprostowani, nieskazitelnie świeży, elegancy. W idealnie wypolerowanych butach odbijał się świat ulicy. Otoki czapek mieli z ciemnozielonego pluszu. Jeśli dzień był pochmurny, sylwetkę

okrywała sięgająca do ostróg, koloru khaki, peleryna, bez najmniejszej rysy zgniecenia. Rąbek munduru, czy też peleryny, ozdabiała wstążka orderu.

Po opuszczeniu przez wychowanków burs, z powodu ukończenia szkół, zorganizowali się w związek byłych wychowanków, urządzając również każdego roku zloty. W ta-

kich dwóch zlotach, w Brześciu i Grodnie, uczestniczyłem. Zlot w Brześciu nad Bugiem zapadł mi mocno w pamięci może dlatego, że obecny na zjeździe generał, zdaje się Stachiwicz, podsumowujący zlot, powoływał się na moje przemówienie. Związek wydawał czasopismo (nie pamiętam jego tytułu) zajmujące się pracą swoich członków na Kresach. W tym czasopiśmie zamieściłem pierwszy w moim życiu artykuł. Wycinek zachowałem, ale w czasie okupacji sowieckiej musiałem go zniszczyć.

Mam jeszcze inną pamiątkę z Brześcia, wieczne pióro. Użyczył mi go na zlocie nieznany kolega, abym zaadresował list do domu i nie mogłem już mu oddać.

Teraz to dla mnie miła, chociaż żenująca, pamiątka.